

MARGINESY

Rodzina

Andrzej niedawno skończył pięćdziesiątkę i był bardzo zadowolony ze swojego dotychczasowego życia. Szczęśliwe małżeństwo z kobietą poznaną we wczesnych latach liceum, dwójka dorastających dzieci, nowe auto średniej klasy, które mył dokładnie w każdy weekend, i rozwijająca się kariera naukowa. Czy mógłby sobie życzyć czegoś więcej? Z każdej z tych składowych swojego szczęścia był bardzo dumny i nie pozwalał, żeby kogokolwiek w jego otoczeniu omijały szczegóły dotyczące jego rodziny i kariery. Najlepiej, choć trochę bez swojej woli, poinformowany był o tym wszystkim jego brat Franek. Franek był pisarzem i nigdy nie miał etatowej pracy ani kobiety, z którą byłby związany dłużej niż przez trzy miesiące. Nie żeby było mu z tym przesadnie źle – w końcu było go stać na utrzymanie niewielkiego mieszkania w centrum miasta, mógł sobie także pozwolić na dobre jedzenie i wielogodzinne przesiadywanie ze znajomymi. Miał małego, łaciatego kundelka i nałogowo palił papierosy. Nieważne, czy mówił wiele, czy – jak również mu się to zdarzało – zamykał się na cały wieczór – i tak był uznawany za duszę towarzystwa. Nigdy nie zazdrościł bratu kariery akademickiej, pięknej, choć – jego zdaniem – mało interesującej żony, a jednak dwa razy do roku, kiedy odwiedzał Andrzeja z okazji świąt, czuł się jak ostatnia lajza. Doskonale wiedział, że brat nie zmarnuje okazji, aby wypomnieć mu każdy element życia, który on uważał za zmarnowany.

Pewnego majowego poranka wszystko zaczęło się jednak odwracać. Tego dnia córka Andrzeja miała na studiach jeden z trudniejszych egzaminów. I właśnie tego dnia wyszło na jaw, że jedna z najlepszych studentek od wielu miesięcy organizuje działalność grupy, która przy użyciu prostych urządzeń, jakie można nabyć w każdym sklepie detektywistycznym, pomaga oszukiwać na egzaminach. Nie ma potrzeby wdawać się w szczegóły – w każdym razie chodziło o co najmniej kilkanaście osób, kilka zestawów podsłuchowych i kilkadziesiąt zdanych egzaminów. W konsekwencji Kasia została niemal natychmiast wyrzucona z uczelni, co – także ze względu na jej nazwisko – odbiło się szerokim echem. Tego dnia podłamyany tymi wiadomościami Andrzej wyszedł z pracy nieco wcześniej. Wypakowując zakupy, na kuchennym blacie dojrzał spinki do mankietów. To „znalezisko” uruchomiło lawinę zdarzeń – spinki oczywiście nie należały do Andrzeja, który w ciągu kolejnych godzin miał odkryć, że jego piękna żona od co najmniej kilku miesięcy zdradza go z jego dobrym kumplem, z którym co wtorek grywa w golfa. Andrzej nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Spakował do torby kilka koszul i trochę czystej bielizny, wrzucił ją do samochodu i ruszył przed siebie. Jeszcze tego samego dnia miało się okazać, że jego młodsze dziecko – syn, którego uważał za ideał i wierną kopię samego siebie – od dłuższego czasu leczy się u psychiatry, o czym, oprócz Andrzeja, wiedziała cała rodzina. Tak więc całe poukładane życie powoli waliło się jak domek z kart. Tego popołudnia Andrzej jeździł po mieście zupełnie bez celu. Nie miał ochoty bezmyślnie się upić, jak zrobiliby niejedni mężczyźna. Inne rozwiązania także wydawały mu się właściwe dla ludzi małych. I dopiero po kilku godzinach wpadł na pomysł, żeby odwiedzić swojego brata.

Gdy Franek ujrzał Andrzeja w drzwiach swojego mieszkania, jęknął tylko z niezadowolona. Jak przypuszczał, zaraz zacznie się festiwal wypominania mu jego błędów. Zanim jednak wymyślił zgrabne kłamstwo, które miałyby spławić brata, ten szybko wbiegł do jego pokoiku, będącego zarówno salonem, jak i biblioteką, a częściowo także sypialnią i kuchnią. Andrzej obrzucił tylko krytycznym spojrzeniem bałagan, jaki panował w mieszkaniu, odgarnął kilka gazet i książek, po czym przysiadł na kanapie i zaczął rzewnie płakać. Takiej reakcji Franek się nie spodziewał. Zarówno ten wieczór, jak i noc oraz kolejne dni Andrzej spędził u brata. W pracy zgłosił, że przez jakiś czas się nie pojawi, za to cały czas, którego zawsze mu brakowało, spędzał z Frankiem, jego kudłatym Gremlinem i ich znajomymi. Gadał o niczym, pił whisky i przestał się tak bardzo przejmować tym, jak jego życie wyglądało i jak zmieniło się w trakcie jednego dnia.

Tym, co wydało się Andrzejowi jeszcze dziwniejsze, kiedy wrócił do zgłiszcz swojego uporządkowanego niegdyś życia, było to, że – jak się okazało – nikomu specjalnie go nie brakowało. Córka nie wydawała się bardzo przejęta wyrzuceniem ze studiów, bo zaczęła już planować zagraniczne stypendium. Syn, do którego Andrzej próbował się bardziej zbliżyć, nadal tkwił w swoim dołku. Natomiast żona odegrała przed nim spektakl pełen żalu i przeprosin, połączony jednak z wyrzutami co do jego kilkudniowej nieobecności.

Właściwie aż do momentu zaparkowania samochodu pod swoim idealnym domem z równo przystrzyżonym trawnikiem Andrzej był pewien, czego chce. Słuchając opowieści przyjaciół Franka, podjął decyzję, by porzucić dotychczasowe życie i jedynie w towarzystwie syna wyjechać na dłużej z kraju. Myślał o zamieszkaniu w Azji albo Australii... Z jego kwalifikacjami i doświadczeniem może nawet udałoby mu się tam znaleźć jakąś ciepłą akademicką posadkę. Jednak im bliżej był domu, tym bardziej przekonywał się, jak dziurawy jest jego plan. Powoli i boleśnie uświadamiał sobie, że może nie kocha swojego obecnego życia tak bardzo, jakby chciał, żeby powszechnie myślano, ale właściwie ma to, co jest mu potrzebne. W końcu wystarczyło tylko przymknąć oko i przemilczeć kilka spraw, a resztę po prostu zignorować, by wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Zresztą taką taktykę Andrzej stosował nie od dziś.

Po kilku miesiącach wszystko wróciło do pierwotnego stanu – rodzina Andrzeja nadal karmiła się kłamstwami, o których wszyscy wiedzieli, ale nikt ich nie roztrząsał. Tylko Franek pewnego dnia stwierdził, że pomysł dalekiego wyjazdu był najlepszą rzeczą, jaką dostał od brata. Wziął Gremlina pod pachę, zamknął niewielkie mieszkanie na cztery spusty i wyjechał. Kolejną Gwiazdkę spędził w okolicach Tajlandii, z dala od rodziny.

Marzenia

Wszyscy sympatycy sportu na pewno z niecierpliwością czekają na dwie wielkie imprezy. Jedną z nich, a ściślej jej połowa, odbędzie się w naszym kraju. Mam oczywiście na myśli EURO 2012.

O tej imprezie wiemy już całkiem sporo. Wiemy gdzie, kiedy i w jakich godzinach rozgrywane będą mecze. Wiemy także, gdzie będą mieszkać poszczególne ekipy i na jakich boiskach będą trenować. Wiemy również, że bez względu na wynik polskiej reprezentacji po turnieju z funkcji trenera zrezygnuje Franciszek Smuda. Mówił o tym wielokrotnie i jak na razie podtrzymuje swoją decyzję. Tyle wiemy.

Nie wiemy natomiast, jak zaprezentuje się polska drużyna. Nie należy sobie jednak za dużo obiecywać. Może zdarzy się jakiś cud i nasza reprezentacja wyjdzie z grupy eliminacyjnej oraz rozegra jeszcze jeden, pożegnalny mecz.

W wyjściu z grupy tkwi jednak pewien podtekst. Otóż prezes PZPN Grzegorz Lato zapowiedział, że jeżeli polska drużyna nie wyjdzie z grupy, to on nie będzie kandydował na prezesa w najbliższych wyborach, które odbędą się po EURO 2012. Tak mówi dzisiaj, ale nie należy brać tych słów na serio. Bo gdzie będzie lepiej panu Grzegorzowi niż na stanowisku prezesa PZPN?

Wielu zagorzałych fanów futbolu, szczególnie polskiego, zaczyna się głośno zastanawiać – co jest dla nas lepsze? Jeżeli polska reprezentacja wyjdzie z grupy, to na fotelu prezesa prawdopodobnie ponownie zasiądzie mało kompetentny Grzegorz Lato i zarówno w PZPN, jak i w całym polskim futbolu nadal będzie panował bałagan, by nie powiedzieć – marazm. Może więc byłoby lepiej, gdyby polska reprezentacja nie wyszła z grupy? Wtedy z prezesowskiego fotela zostałby wysadzony Grzegorz Lato i nadarzyłaby się wreszcie znakomita okazja do zrobienia solidnych porządków w PZPN i w całym naszym futbolu. Mówiąc o prezesie, trzeba podkreślić, że był bardzo dobrym piłkarzem. Natomiast do roli prezesa nie dorósł i z pewnością już nie dorośnie. Funkcja ta przerasta go wielokrotnie, a sprawując ją, naraża siebie i cały polski futbol na kpiny. Jak się to skończy? Wkrótce się o tym przekonamy, bo do EURO 2012 pozostało już tylko 130 dni.

Na dzisiaj wiemy jeszcze, że przyjęte przez rząd zadania infrastrukturalne ocierają się o kompromitację. Na czoło wysuwają się dwie inwestycje. Pierwsza to 90-kilometrowy odcinek autostrady A2, który nie zostanie oddany w terminie do użytku. Ktoś pokpił sprawę, ale winnych brak.

Druga inwestycja to budowa stadionu w Warszawie, który – nie wiedzieć czemu – okrzyknięto Narodowym. Tak to sobie wymyślili panowie z Narodowego Centrum Sportu. Cóż to za instytucja? Powołał ją słynny były minister sportu „Miro” Drzewiecki, a zasilili ją głównie jego koleśki i osoby, które mają „dobre oko” u samego premiera Donalda Tuska. Centrum tworzą zatem ludzie niekompetentni, nieczujący sportu i nieorientujący się w sprawach organizacyjnych, tym bardziej jeśli chodzi o budownictwo sportowe. Mieli oni zarządzać przygotowaniami do całej imprezy. Najpierw zaśnęli skokiem na kasę, żądając wysokich premii za wykonanie zerowej liczby zadań. Przez wiele tygodni oszukiwali opinię publiczną meldunkami, że stadiony budowane są zgodnie z harmonogramem, a stadion w Warszawie będzie gotowy w wyznaczonym terminie. Urządzili fetę z okazji otwarcia loży dla VIP-ów. Jak jest z budową warszawskiego stadionu, wszyscy wiemy. Termin otwarcia nieustannie się przesuwają.

Teraz panowie od Kaplera (szef Centrum) mają pretensje do Pana Boga, że spadł śnieg i nie można kłaść na stadionie murawy. W dodatku okazało się, że rozsuwany dach można uruchomić jedynie przy dodatnich temperaturach. To kolejna wpadka panów od Kaplera. Teraz pod znakiem zapytania stanął kolejny termin oddania stadionu futbolistom. Miało to nastąpić 29 lutego br. podczas meczu towarzyskiego z Portugalią. Piszę „oddania stadionu futbolistom”, bo w tej chwili panowie od Kaplera wymyślili inną imprezę, a mianowicie wielki koncert na wielkiej scenie. Podobno straż pożarna wydała na nią zgodę.

W tej chwili aż się prosi, by dokonać rzetelnej oceny działań panów od Kaplera. W końcu działania te przyniosły poważne opóźnienia w budowie stadionu i zwiększały koszty tejże budowy. Do tej pory państwo (to znaczy my – podatnicy) wydało na to 2 miliardy złotych. A stadion wciąż nie jest gotowy. Według wstępnych wyliczeń będzie to najdroższy stadion na świecie. W innym kraju za te same pieniądze wybudowano by spokojnie ze trzy stadiony.

Ciekawe, czy opinia publiczna dowie się o „zasługach” panów z Narodowego Centrum Sportu. Ciekawe, co dalej z tą instytucją i z pracującymi tam niekompetentnymi ludźmi. Mówi się, że nadal chcą tak funkcjonować i zająć się w przyszłości organizacją kolejnych międzynarodowych imprez sportowych. Uff... To chyba będzie tragikomedie.

Ten felieton zatytułowałem „Marzenia”. Bo marzy mi się uzyskanie rzetelnych informacji o tym wszystkim, o czym tu napisałem.

Drugą wielką imprezą sportową będą igrzyska olimpijskie w Londynie. I o tej imprezie również można sobie pomarzyć. Jak? O tym w kolejnym felietonie.

HENRYK MARZEC

